

Nieocene nienazywanie

Rozmowa Elżbiety Smoleńskiej z Hanką Grupińską o jej najnowszej książce *Dalekowysoko*

Fotografie: Zvika Gregory Portnoy



Fot. z archiwum autorki

Kilkadziesiąt lat temu *Dalekowysoko* byłoby książką podróżniczą. Dziś podróże się zdewaluowały. Świat oblatują samolotami turyści kolekcjonujący wrażenia i pamiątki, a prawdziwych podróżników zastąpili pielgrzymi, którzy wiedzą, dokąd jada, ale nie wiedzą, dokąd ich ta podróż zaprowadzi. Dla mnie Twoja książka jest właśnie takim pielgrzymowaniem do świata Tybetańczyków. Dokąd dotarłaś w swojej podróży?

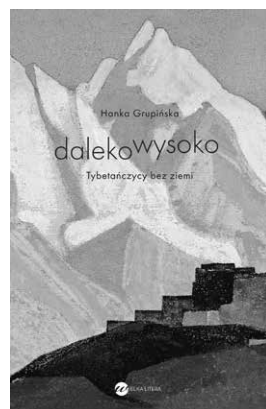
Do kawałka przynależności. Przez dwadzieścia pięć lat swojego życia zajmowałam się Zagładą. Dałam temu całą siebie i nic nie dostałam w sensie energetycznym. Owszem, nauczyłam się bardzo dużo, ale byłam kompletnie wyszana. A w tej podróży do Tybetańczyków zyskałam niewiarygodnie dużo. Kiedy napisałam do Tenzin, mojej tybetańskiej siostry, że książka w końcu się ukazuje, odpowiedziała, że jest szczęśliwa. I dodała, że to nasz związek karmiczny. Ja wiem, że wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni pajęczyną więzi karmicznych, ale to szczególne połączenie z Tenzin daje mi miejsce w świecie, do którego przynależę. Odnalazłam właśnie tę przynależność. Zagładę mam w każdej komórce swojego ciała i nigdy się tego nie wyzbędę. Ale nie chcę do niej już wracać. A jednocześnie mam też w sobie tę ostatnią długą podróż, i tam chcę zaglądać zawsze, bo to mi daje dobrą siłę, gdy rano otwieram oczy. Mam swój dom, który we mnie łączy tamten świat i ten świat tu, udało mi się to przemieszać wedle własnej recepty.

A co musiałaś z siebie zrzucić? W końcu każda wewnętrzna przemiana wymaga pozbycia się czegoś.

Może straciłam trochę pychy? Ale jeśli tak, to przecież zyskałam (znowu). Opisałam w książce jedną swoją wpadkę wynikającą z pychy i samolubstwa. Po całym dniu podróży autobusem pękłam, wybuchłam złością, bo zmęczenie, środek nocy, w hotelu nie ma wody, nie ma światła, zimno, a na dodatek cały plecak pokryty grubą na centymetr warstwą błota. Wtedy Tenzin, siostra, Bogu ducha przecież winna, wyjęła z torby małą, białą skarpetkę i zaczęła nią czyścić mój ogromny plecak. To jej oddanie rozpuściło we mnie wszystko. Było jak czułe przytulenie. Zrobiło mi się głupio, tak po europejsku wstydziałam się swojego zachowania.

Twoja książka jest dla mnie bardzo buddyjska, nie tylko dlatego, że piszesz o Tybetańczykach. Jej „buddyjskość” wynika ze stanu „od-osobnienia”, bycia „w samości”, żeby użyć Twojego określenia. Od-osobnienie, czyli pozbycie się swojej osoby, pozostawanie w nieocenianej otwartości na wszystko i wszystkich, co i których spotkasz.

Lubię podróżować sama, bo mogę wtedy zniknąć. Przystaję zwracać na siebie uwagę, nie istnieję, nie widzę siebie. Jest świat, którego dotykam, wacham, rozmawiam, patrzę. Dla tego świata jestem nikt, nic – on mnie nie zauważa.





A ja idę, nieobciążona relacją z, i zbieram doświadczenie wszystkimi zmysłami. Wszystkimi szczęcioma... Myślę sobie, że twoja pielgrzymka to moja podróż. Podróż niesie w sobie i sacrum, i tajemnicę, i, czasem, spełnienie.

I pewnie dzięki tej nieobecności siebie udało Ci się uniknąć wielu błędów i uproszczeń kulturowego przekładu zbyt mocno przepuszczonego przez własne „wiem”.

Te błędy wynikają z uwikłań człowieczych w kontekst. Ja nie byłam tam w nic uwikłana. Wkraczałam w ten świat ze swoimi oczami, uszami, a uczucie, że mnie nie ma, które często mi towarzyszyło, było wielką ulgą. Wokół był tamten świat, i tylko on się liczył. Pamiętam, jak wchodziłam przez bramę do domu starej Tybetanki z napisem „Tabo Institute”. (Tabo to mała wioska w Spiti, a w domu mieścił się hostel dla młodych chłopców, którzy przyjechali ze Spiti do szkoły w Dharamsali). Syn tej starej kobiety był kucharzem, a ona po prostu przesiadywała na ganku. Odwiedzałam ją co roku. Nazywała się Cepel Dolma. Gdy się u niej zjawiałam, w jakimś sensie byłam, bo się witałyśmy; ona mi robiła herbatę, ale po chwili znowu mnie nie było, bo słuchałam jej opowieści. Za każdym razem, gdy wyruszałam w tę podróż do świata drugiego człowieka, pozbywałam się

swojego ciężaru. Tutaj też próbuję się go pozbywać, ale wciąż „ważę” o wiele więcej niż tam.

Czego było potrzeba, żeby osiągnąć ten stan umysłu, który nazywasz pozbyciem się ciężaru siebie? Nagle oświecenie?

Chciałabym [*śmiech*]. To trochę tak jak w medytacji, kiedy odsuwasz się od swoich myśli, a tu musisz/ chcesz odsunąć się nawet od swojej fizyczności.

I co, wystarczy wsiąść do samolotu, przelecieć parę tysięcy kilometrów, wystarczy poczuć inne zapachy, usłyszeć inny język i od razu jest Cię mniej?

To ciekawe, co mi się teraz w głowie dzieje, co mi się myśli, kiedy o to pytasz. Można odbywać podróż do odległych światów bez samolotu, ale trzeba usłyszeć inny język, wyobrazić sobie, a nawet poczuć inne zapachy... Miałam ten sam stan umysłu w rozmowach o Zagładzie. Kiedy wpuszczam w siebie inny świat, to mnie nie ma, jakoś znikam, przestaję się liczyć. Może to jest... No dobrze, zrobię sobie komplement. Może to jest mój empatyczny sposób rozmawiania? Albo inaczej: coś mnie do tych ludzi pcha, a potem jestem przed nimi jak pusty talerz, na który mogą położyć, co zechcą. A ja tylko proszę o więcej.



A pasowałoby Ci słowo „pokora”? Pokora wobec „nie wiem”? Przyjmując swoją niewiedzę, mogę się otworzyć.

Mam szacunek do tego słowa i tego stanu. Przez długą część mojego życia nie byłam pokorna, byłam butna. Ale rzeczywiście, miałam pokorę wobec każdej rozmowy o Zagładzie, bo ty, człowieku, ty, kobieto, ty, mężczyzno, który do mnie mówisz o tym, czego doświadczyłaś/doświadczyłeś, mówisz do mnie o kosmosie, którego nie umiem zrozumieć. Mogę tylko słuchać i ciągle po kole krążyć wokół tematu i nigdy nie wejść w jego środek.

Jak w Twojej książce *Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami getta warszawskiego*.

Właśnie. Bo to nie było moje doświadczenie. Ja tylko wysłuchiwałam i krążyłam wokół. Zastanawiałam się ostatnio, czy jest wspólny mianownik między historią żydowską a historią Tybetańczyków. I znajduję go, porównując ludzkie doświadczenia ogromnego cierpienia, potwornej krzywdy czynionej przez drugiego człowieka. W żydowskiej historii to była całkowita zagłada biologiczna, a tu mamy do czynienia z zagładą kulturową i duchową, językową, społeczną – wszystkie określenia się zmieszczą. Wobec ludzkiego cierpienia mam mnóstwo pokory. Czuję potrzebę, żeby pokłonić się

przed taką osobą i powiedzieć: przepraszam. Przepraszam, że drugi człowiek ci to zrobił. Oczywiście Cepel Dolmy wypełniały się łzami, kiedy mówiła, że jest nieszczęśliwa, bo Tybet jest nieszczęśliwy.

Wrócę do słowa „pielgrzymka”, którego – jak mi kiedyś powiedziałaś – nie lubisz, bo kojarzy Ci się z katolicyzmem i pielgrzymką do Częstochowy, ale które moim zdaniem ma sens w odniesieniu do Twojej książki. Bo pielgrzymka to podróż przez siebie, pokorne zdzieranie arogancji, poczucia wyższości, skłonności do oceniania, zachodniej racjonalności. Jakich warstw musiałaś się pozbyć, żeby tak pisać o Tybetańczykach? Na przykład nie nazywać „przesądami” ich prostej, niezmaconej wiary w bóstwa opiekuńcze?

Ja im po prostu wierzę. Nie oglądam tego oczami inteligentki z Warszawy. Kiedy rozmawiam z człowiekiem, to chcę usłyszeć jego prawdę, jego (!), a nie tę filtrowaną przeze mnie. We wszystkich moich książkach mam taką intencję, żeby swoimi słowami opowiedzieć cudze historie ubierane najpierw w cudze, a potem trochę w moje słowa. To jest ich prawda, do której podchodzę z pokorą. I z szacunkiem. Ludzie mają prawo do postrzegania świata na swój sposób, oczywiście pod warunkiem, że nikomu przy tym krzywdy nie robią. A jeśli chodzi o bóstwa opiekuńcze, to przecież obie wiemy, że z jednej strony



z buddyjskiej perspektywy bóstwo jest wyobrażeniem cechy ludzkiej, jest tym czymś, czego w sobie szukamy, co niesiemy i co czasem w sobie znajdujemy. A z drugiej strony w buddyzmie tybetańskim jest cały panteon bóstw przejętych z religii bon. Opowiem ci o takich „zewnętrznych” bóstwach przez przypowieść. Spotkałam kiedyś mniszkę pochodzącą z ubogiej wioski w Zanskarze, która mając kilkanaście lat, marzyła, żeby się stamtąd wyrwać i żeby się uczyć. W domu pasła jakiegoś owca, a gdy jakieś zwierzę się zapodziało, paliła *szukpę*, jałowiec, prosząc bóstwa o pomoc. W końcu udało jej się dotrzeć do klasztoru w Dharamsali, ale tu... straciła całkiem chęć do życia. Poszła po radę do starego mnicha, który postawił jej *mo*, wróżbę, i kazał zanieść do lasu ofiary dla bóstw opiekuńczych. Czenzum opowiadała mi to po kilkunastu latach, więc miała już dystans do tamtych zdarzeń, nawet lekko się uśmiechała, trochę w zakłopotaniu. Jakby z perspektywy nowego tybetańskiego buddyzmu rozważała w sobie tamte pierwociny bonowskie. Trochę jest zawstydzona, trochę z tego kpi, ale kiedy jedzie do swojej wioski w Zanskarze – tak mi powiedziała – to na wszelki wypadek wciąż pali jałowiec w ofierze dla bóstw mieszkających w górach...

Przypomina mi się anegdota o Dalajlamie, który pytany, czy opowieść o tym, jak wielki mistrz Nagardżuna na zaproszenie *nagów*, duchów

wodnych, zszedł na dno jeziora i otrzymał od nich tekst sutry Pradźniaparamity, można interpretować w kategoriach jungowskich jako wydobywanie treści ukrytych w podświadomości, odpowiedział: „Absolutnie wykluczone!”

Bo co dla jednych „nieprawdziwe” albo „niemożliwe”, dla innych jest oczywiste. Na pewno istnieje świat, w którym *nagowie* zapraszają wybranych na dno jeziora.

A czy w spotkaniu z tamtejszą innością natknęłaś się na jakieś swoje granice kobiety Zachodu? Mam tu na myśli na przykład wizytę w rodzinnym domu Tenzin w dolinie Spiti. Na parterze mieszkają zwierzęta, tuż nad nimi ludzie, za ścianą wychodek. Mieszają się dźwięki i zapachy, gęstnieją, a okien nikt nie otwiera, bo ostry wiatr niesie zimno i piasek. Jak Twoje zmysły wytrzymały taką dawkę „egzotyki”?

Po pierwsze, nigdy nie myślałam o tamtym świecie w takiej kategorii. I słowo daję, nie przeszło mi nawet przez myśl: „Kurczę, mogliby sobie kibelek zrobić” (bo mogliby, gdyby chcieli...). Ale prawdą jest, że w takich starych, tradycyjnych domach okropnie śmierdzi, po prostu i zwyczajnie. Domy wychodek to zwykła dziura w podłodze. I odchody zwierząt, które mieszkają na parterze, też



wydzielają intensywny zapach. Jasne, czułam to, zauważałam, i tyle. Byłam wtedy w szczęśliwości serca, daleka od takiej obserwacji krytycznej. Siedzieliśmy w izbie na podłodze, na dywanach rozłożonych przy ławach ustawionych w literę U, pod ścianą kredens z termosami i kubkami, na drugiej ścianie szare od kurzu okna. Ten sposób, w jaki oni się komunikują! Miałam wrażenie, że mnie nie widzą. Siedzieliśmy, ja się gapiłam, dużo milczenia, mało słów, niewiele ruchu. Kiedy wchodzisz do obcego domu w Berlinie czy w Ożarowie, to wszyscy robią zamieszanie – poruszają ciałami i paplają bez końca. A tu nic, jestem obcą osobą, gościem mniszki, córki gospodarza i oni przez dłuższą chwilę nawet ze sobą nie rozmawiają, a witają się, patrząc na siebie z miłością. To było pierwsze spotkanie córki z ojcem po dwóch latach! Kiedy przyjechałyśmy, Tenzin zajrzała do pokoju, w którym ojciec czytał sutry. A on uniósł głowę, popatrzył na nią łagodnie i znów przeniósł wzrok na tekst. Oboje wiedzieli – on, że przyjechała, ona, że przyjdzie do niej, jak tylko skończy czytać. Siedząc z nimi w izbie, myślałam: jak cudownie, że nareszcie nie ma zbytecznych słów. Oni się porozumiewają oczami, sercem, ciszą.

Napisałaś książkę wbrew oczekiwaniom, że jak o Tybecie, to o polityce i relacjach chińsko-tybetańskich.

Każdy dziennikarz pyta mnie o politykę chińską, tymczasem *Dalekowysoko* nie jest książką o polityce!

Nie jest? A uchodźcy? Więzienia? Tortury?

Ja piszę o dramatycznych losach poszczególnych ludzi, opowiadam pojedyncze historie. To prawda, one są konsekwencją decyzji polityków wpływających na życie moich bohaterów, ale ja się nie zajmuję tym związkami. Opowiadam o ludzkich cierpieniach i dramatach, i przede wszystkim o tym, jak ci ludzie radzą sobie z cierpieniem. Ono jest wspólnym mianownikiem moich książek o Zagładzie i o Tybetańczykach, o czym już mówiłyśmy. Jednak kompletnie różnym licznikiem jest sposób, w jaki ci ludzie się do swojego cierpienia odnoszą. Żydzi często opresjonują świat swoją Zagładą, epatują nią, mówią: my jesteśmy ofiarami Zagłady, więc wy musicie to szanować i widzieć naszą wyjątkowość. A Tybetańczycy mówią: my nie jesteśmy ofiarami, my cierpimy i wierzymy w odmianę naszego losu. A ponieważ są naprawdę uczniami Dalajłamy, szanują go i liczą się z jego słowami, więc podążają za jego nauką, żeby nie pielęgnować w sercu nienawiści i gniewu przeciwko Chińczykom. Żeby nie pielęgnować złości przeciwko drugiemu człowiekowi. Oczywiście, jeśli można uniknąć cierpienia, jeśli można mu się przeciwstawić bez przemocy, to trzeba to robić. Ale największa



trudność to przyjąć cierpienie i pokonać je wewnątrz. I to właśnie widziałam i czułam u Paldena Gyatso, mnicha, który przez trzydzieści trzy lata był więziony przez Chińczyków.

Ale przecież spotkałaś także tych, którzy tego w sobie nie przerobili.

To prawda. Na przykład dawny żołnierz z eskorty Dalajlamy, sąsiad Cepel Dolmy, zaciska pięści w gniewie, kiedy chłopcy wrzucą piłkę na ganek, zastęga w złości, która nim włada.

W czym chciałabyś być podobna do Tybetańczyków?

W ich umiejętności obywania się bez słów czy raczej używania niewielu słów w sprawach ważnych. W lekkości, która pozwala znaleźć radość w byle drobiazgu. I chciałabym się do nich upodobnić w ich zwyczajności spojrzenia. I w buddyjskiej „czułości”, która wyraża się gestami w naszej kulturze nieznanymi. Pewnego dnia siedziałam na klasztornej tarasie, a dużo wtedy tam przesiadywałam, bo wyjechałam z Polski w okropnym dole psychicznym. I podeszła do mnie stara mniszka, dotknęła mnie tym gestem nie do opisania i powiedziała: *Too much thinking, Hana.*

Buddyjskość Twojej książki polega też na tym, że „nieocennie” pozwalasz płynąć słowom i obrazom tamtego świata, tak jak podczas medytacji pozwala się przepływać myślom bez ich oceniania, poprawiania czy polemizowania z nimi.

Chyba tego braku ocenności nie zauważyłam. Może jest zwyczajnie wbudowany w moje oglądanie innego świata? Bo przypomina mi się, jak dwa-dziesięć dwa lata temu skończyłam pisać książkę o chasydkach, o których wtedy w Polsce właściwie nikt nic nie wiedział, i miałam wówczas taką samą potworną niepewność, czy nie przekraczam jakichś granic, czy nie obrażam, czy nie jestem protekcyjna... Poszłam z tym pytaniem i z maszynopisem do Kostka Geberta i z ulgą usłyszałam od niego, że nie. *Z Dalekowysoko* miałam podobnie. Przez lata pisania nękały mnie wątpliwości, czy umiem opowiedzieć o tak odległym świecie, czy umiem znaleźć stosowny język. Świat chasydki był mi z wielu powodów dużo bliższy niż świat buddyjski. Ten drugi poznawałam od zera. Te dziesięć lat podróży to też moja wielka nauka. Zapis mojego doświadczenia kształtującego.

Pisząc o chasydkach, nie chciałaś być protekcyjna. A jak byś nazwała swój największy niepokój dotyczący tej książki?



Chyba język, słowa i ich układanie było największą trudnością. Tu dotykamy podstawowej rzeczy, z którą się zmagalam. Słowo niesie znaczenie wypchane sensem, który mu przydajesz. Stąd trudność w opowiadaniu słowami o treściach nie z tego świata. Bierzesz słowa wypełnione cudzymi treściami, ubierasz te treści w swoje słowa z innej przestrzeni, pokazujesz je czytelnikowi, który też ma swoje pojęcia i swoje treści w nich zamknięte. I to się często rozmija – nazywanie i rozumienie. Dlatego czasem wołałam pozostawać przy nienazywaniu, bo nie nazwać jest łatwiej. Mój niepokój dotyczył też tego, czy będę umiała opowiedzieć o świecie, także dla mnie niepoznanym od środka, ludziom, którzy nie wiedzą dużo o Tybecie i buddyzmie. I jeszcze to, że ten świat jest tak odległy od tego, czym tu wszyscy żyją – od Kaczyńskiego, od PiS-u i ich opozycji. Zastanawiałam się, jaki wydawca weźmie taką cegłę. Pozbyłam się dużej części niepokojów, kiedy po przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów powiedziałaś, że to książka buddyjska, cokolwiek to znaczy...

Choć zastanawiam się, czy moja książka jest pozbawiona ocenności. Bo jest w niej radość, zachwycenie lagodnością, nieroszczeniowością, skromnością. Pewnie, ludzie są różni, ale w swojej podróży nie spotkałam się na przykład z tym rodzajem agresji, do którego tu jesteśmy tak przyzwyczajeni, że aż nie nazywamy tego agresją. Ktoś

zajeżdża ci drogę? No cóż, spieszyło mu się. Ktoś burczy do ciebie na pocztce? Normalne. Prawie każdy myśli, że jest ważniejszy od innych... Nie byłabym w tamtym świecie przez tyle lat, nie chciałabym zostawać tam jak najdłużej, gdyby nie to, że jest pełen wzajemnego szacunku i pełen empatii. Tak jak podczas wizyty w rodzinnym domu Tenzin. Może to jest jakaś ocenność?

Może raczej do-cenność? Bo jednocześnie nie idealizujesz tego świata. Piszesz także o Tybetańczykach podejmujących wątpliwe wybory moralne, o narkomanii i alkoholizmie wśród uchodźców. Jeden z Twoich rozmówców, Phakmo, mówi, że w jego wiosce Chińczycy nie muszą ich nawet pilnować, bo Tybetańczycy sami się pilnują i na siebie donoszą. Idealizowanie Tybetańczyków stanowi dość łatwą pokusę, bo Dalajlama, bo chińska okupacja, bo zniewolony naród. Ty nawet piszesz o ich kulturowym wykorzenianiu się – chciałoby się powiedzieć: o bezkrytycznym przejmowaniu zachodnich wzorców – nieocennie, jak o przemianie.

To może ta scena jest ocenna? Tybetanka z córką przyjeżdża z Ameryki, żeby odwiedzić swoją starą matkę. Ubrana jest w dżinsy i czapkę bejsbolową, jej matka ciągle w fartuchu pasiastym, z warzochami na plecach. I teraz siedzą przy stoliku



w restauracji we trzy: stara kobieta, jej córka i wnuczka. Najmłodsza je spaghetti, średnia jedną ręką karmi młodszą, a drugą miesza herbatę najstarszej. Nie lubię słowa „wykorzenienie”, ale ta przemiana (Tybetanka z Ameryki) formuje nowego człowieka. To smutny obraz, bo tej kobiety nie łączy z matką już wiele prócz mieszania herbaty.

Jeden świat odchodzi, przychodzi nowy. Czasem trudno się z tym pogodzić. Mnie najbardziej poruszył taki fragment: „Kobiety, które za chwilę będą stare, nie noszą już turkusowych i koronowych kolczyków. Nie zdobią włosów szlachetnymi kamieniami. Nie spletają warkoczy z kolorowymi jedwabnymi wstążkami, które gładzą ich półokrągłe plecy. Nie obracają młynków dla rozprzestrzeniania dobra w kosmosie. Te kobiety, które wkrótce będą stare, chodzą w spodniach. [...] Włosy mają upięte wysoko albo zwyczajnie obcięte. Nie rozpuszczają ich (jeszcze) na ramionach. Bo wiedzą (jeszcze), że tak w Tybecie wyobrażano czarownice. A młynki modlitewne ich matek stoją na półce domowego ołtarzyka”. Co będzie dalej?

Przemijanie i przemiana. Spędziłam z nimi tyle lat, ale naturalnie nie mogę wiedzieć, co się z tej przemiany (na)rodzi. Może już nietybetańskość? Ale jestem spokojna o nich, i o nas też, z jednego

powodu. Człowiek, choć czyni zło, to też szuka dobra. Zawsze będzie przestrzeń na dobro. Na co najmniej wymieszanie starej matce herbaty – to też jest kawałek dobra. Bo jednak ta kobieta wraca do Mc Leod Gandź z tą swoją amerykańskością, z otyłą córką karmioną frytkami i hamburgerami, a przecież mogłaby polecieć na Florydę. Ja tylko proszę wszystkie bóstwa i wszystkich bogów, żeby tego dobra było jak najwięcej, żebyśmy jak najczęściej mogli dobrem zło przykrywać. Wytwarzanie zła i dawanie dobra to nasza człowiecza małość i człowiecza wielkość.